Rozmaitości

Dnia 18. Kwietnia **N**er. 16. Roku 1840.

NIESPODZIANE ODWIDZINY.

(Z dziennika *le Constitutionnel.*)

Byłoto ostatnich dni 1793 roku. Właśnie uderzyła godzina siódma. Wieczór był wilgotny i zimny. Na piérwszém piętrze w domu przy ulicy *Minimes*, siedział pewien mężczyzna w dobrze przymkniętym pokoju z młodą swą żoną przy kominku. Nie było tam innego światła, jak tylko płomień, który migocąc na ognisku, cały pokój oświetlał. Zazdrostki, a nawet okiennice zewnątrz, były jak najstaranniej zamknięte. Dywan u okien zawieszony, tłumił tętent po ulicy idących.

Dwie osoby będące w tym pokoju, rozmawiały z sobą po cichu. Niekiedy przerywały swoję rozmowę dla podsłuchania szelestu z ulicy, i wtedy poziérało jedno na drugie wymownym i pełnym najtkliwszéj czułości wzrokiem. Niedługo potém powstała młoda kobiéta pocichu z miejsca, i chodząc na palcach, zastawiła na stole skromną ucztę, na jaką w swoich okolicznościach zdobyć się mogła. Była ona przystojna, smukłego wzrostu, miała piękne bląd włosy, a żywość i rozum malowały się na jéj twarzy. Powabny jéj uśmiéch, pełne ogłady, a jednak naturalne zachowanie się, kształtna kibić, piękne nóżki i ręce dodawały całéj jéj postawie osobliwszego wdzięku. Gdy ta piękna niewiasta krzątała się po pokoju, młody mężczyzna poziérał na nią miłośnym wzrokiem. Był on wysokiego wzrostu, dobrze zbudowany, i miał twarz wymowną; czarne oko jego i odważna mina stanowiły przyjemną sporność z łagodnémi i miłémi rysy jego towarzyszki.

—»Henryko«, rzekł cichym głosem do młodéj niewiasty, »czy odebrałaś jaką wiadomość od naszego poczciwego plebana, który nas zaślubił?«

»Nie odebrałam żadnéj mój mężu. Ja sądzę, że się mu ujść powiodło.«

—»Dałbyto Bóg! kochana żono, dzisiaj będziemy jedli ostatnią wieczerzę w tym pokoju, dzisiaj spędzimy w nim ostatni wieczór! Jakże? cóż ty na to powiész? Ta myśl zasmuca mnie. Tak szczęśliwymi byliśmy w tém pomieszkaniu!«

»To pomieszkanie tobie śmiercią zagraża, gdyby cię tu znaleziono... O Boże! dozwól, bym ja wprzódy umarła!«

—»Z tém wszystkiém, będąc z sobą razem, jesteśmy najszczęśliwsi. Od czasu naszego związku, nie rozłączyliśmy się z sobą ani na chwilę. Mimo niebezpieczne nasze położenie, jakże te dwa miesiące prędko przeminęły! Wdzięczny jestem twojemu poświęceniu się, u ciebie znalazłem przytułek, a to tém słodszy, że go razem z tobą dzieliłem! Kochana Henryko! czy przypominasz sobie owo miejsce, któreśmy w opisie pojawów natury wyczytali: »te dwa owady, które osnuwszy się własnorodném włóknem, i zasklepiwszy razem w jednym pęchérzyku, oddają się spokojnie falom morskim.« Oto masz historyję naszego życia.«

Henryka na te słowa pocałowawszy go w czoło, rzekła z wdziękiem dziecinnym:

»Tak, tak! my jesteśmy témi dwoma małémi owadami. Nuże, kochany mężu, siadaj

i jedz wieczerzę, którą białe rączki twojéj kuchareczki przyrządziły.«

— »Usiądźże sobie przy mnie, tylko blizko... ja nie jestem głodny.«

»I ja także głodną nie jestem.«

— »Jako? wszakżeś dziś rano nic nie jadła; wczoraj także nic jeść nie chciałaś... Muszę ci powiedzieć, iż nadaremnie przyrządziłaś wieczerzę, jeżeli razem ze mną jeść nie będziesz.«

»Ach! jakażto uparta głowa... ale powiadam ci, że wieczerza jest bardzo skąpa.«

— »Dla nas dwojga bardzo dostateczna. Spólnie głód znosić nie jest przykro, ale samemu jeść jest rzecz smutna.«

Na te słowa siedli oboje do wieczerzy, którą Henryka z wielką trudnością przyrządziła.

— »Poczyniłażeś wszystkie przygotowania do naszego odjazdu?« odezwał się małżonek. »Czy wyznaczyłaś czas Tomaszowi?«

»Wyznaczyłam, będzie nas jutro przy bramie świętego Eustachego czekał. Udamy, żeśmy jego dziećmi; ja będę jego córką, a ty jego zięciem, pojedziemy jego powozem.«

— »A cóż się stanie z białémi rączkami mojéj kuchareczki?«

»Ach mój mężulku! jakże one czarne i zabrukane będą! Nie przestanieszże mnie kochać, gdy mnie ujrzysz zabrukaną, okopconą i tak szpetnie przebraną?«

— »Zobaczymy, czy téż jesteś tak brzydka.«

»Przyznaj zaraz żem brzydka, bo inaczéj zamknę cię znowu do komórki, w któréj aż do jutra zostawać będziesz... Rozumiész mnie, aż do jutra«, dodała z miną kokietującą.

Gdy to rzekła, małżonek łagodną przemocą ujął jéj obie ręce i zaczął je całować.

W téj saméj chwili zakołatano dwukrotnie do drzwi od wschodów. D'Hervilly i żona jego przelękli się niewymownie i spojrzeli z niespokojnością jedno na drugie. Nie upłynęło chwil kilka, a już znowu zakołatano mocniéj, i dał się oraz słyszeć głos nieprzyjemny.

»Proszę otworzyć«, wołano z za drzwi. »Ja to jestem.«

— »Przebóg! to twój niegodziwy kuzyn Benedykt«, ozwał się d'Hervilly. »Nie otwiéraj mu.«

»Co za nierozsądek! Onby powziął podejrzenie i mógłby mnie denuncyjować... Wnijdź do twojéj kryjówki.«

— »Ja miałbym ochotę przyjąć go tutaj i dać mu naukę!«

»Co myślisz? Toby naszą zgubą było. Skryj się mój mężu, zaklinam cię na miłość boską!...«

»Kuzynko, ja to jestem. Otwórz mi proszę cię.«

— »Odpraw go jak najprędzéj. Ja niewytrzymam jego tu obecności!«

»Odprawię, odprawię... weź to krzesło i ten talérz... i tę szklankę; przymknij dobrze drzwi za sobą, ażeby nic nie widział. Kto tam?

»Benedykt: Toż mnie nie poznajesz? Przynoszę ci ważną wiadomość. Otwórz.

D'Hervilly sprzątnął wszystko, coby wydać mogło jego obecność i wszedł spiesznie do kryjówki. Żona jego zapaliwszy świécę, poszła pomału otworzyć drzwi natrętnikowi, którego oszczędzać zamyśliła. Po krótkiéj chwili, młody człowiek, mający na sobie ubiór owéj epoki, blady na twarzy i z podejrzliwym wzrokiem, wszedł do małego salonu, w którym go Henryka zatrzymała.

Pan d'Hervilly nié miał jeszcze spełna lat dwadzieścia i cztéry, gdy w Paryżu powstała rewolucyja. Kilka członków rodziny jego wyniosło się za granicę; reszta zginęła od gilotyny, on zaś sam uratowanym został jedynie przez poświęcenie się pewnéj zacnéj familii miejskiego stanu. Państwo Brisson, majętni obywatele Paryża, przechowywali go niejaki czas u siebie jako krewnego z prowincyi. Denuncyjonowany przez tajemnego nieprzyjaciela, został schwytanym i do więzienia wtrąconym. Jednakże powiodło się mu ujść swoim prześladowcom. Protektorowie jego podczas długiego uwięzienia jego poumiérali, lecz córka ich, która po rodzicach swoich wszystkie szlachetne przymioty odziedziczyła, dała nieszczęśliwemu, na śmierć wskazanemu młodzieńcowi, przytułek w swoim domu przy ulicy *Minimes*, sama zaś schroniła się do swych przyjaciół.

D'Hervilly, który poznawszy ją powziął ku niéj najtkliwsze przywiązanie, i był również od niéj kochanym, niechciał na żaden

sposób przyjąć od niéj tego poświęcenia się, jak tylko pod warunkiem, aby jego żoną została. Henryka zezwoliła, a kapłan połączył ich śluby małżeńskiemi, i od dwóch miesięcy tajemnica ich szczęścia zamknięta była w tém ciasném pomieszkaniu; zresztą nikomu nie była wiadomą.

Henryka nie widywała się z nikim i nie przyjmowała u siebie nikogo. Już oddawna odprawiła kobiétę, która jéj usługiwała i sama jedna zajmowała się gospodarstwem. Sama chodziła każdego ranka na miasto kupować żywność. Nieraz blada i drząca od zimna, wycieńczona trudem i ukrywająca w sercu największą niespokojność, długo czekać musiała przede drzwiami rzeźników i piekarzy, dla otrzymania mięsa lub chleba. Atoli żadna przykrość nie umniejszała jéj odwagi. Uśmiech i pieszczoty małżonka wynagradzały ją sowicie za te trudy. Poświęciła się ona uratowaniu jego z takiém zrzeczeniem się samej siebie, do jakiego same tylko kobiéty są zdolne.

Dóm, który przy ulicy *Minimes* zamieszkiwała, był bardzo starożytny i należał już od dawna do jéj rodziny. Budowa jego sięgała podobno epoki Ludwika XIV. W głębi małego gabinetu, po za taflowaniem, na kilka stóp niżéj posadzki, znajdowała się w nim komórka. Otwór do niéj był tak zręcznie ukryty za pomocą deski w ramy oprawionéj, iż odkryć go było prawie niepodobieństwem. Byłato przestrzeń tak obszérna, iż jeden człowiek mógł się w niéj mieścić dość wygodnie, a że pokoik ten przypiérał do kuchni będącéj na dole, przeto nie obawiano się, aby sąsiedzi stuk w nim usłyszéć mogli.

Tym sposobem pan d'Herville ukryty przed swymi prześladowcami, oczekiwał tylko sposobnéj chwili, by się z żoną swoją mógł wymknąć z Paryża. Spokojności téj nikt nie przerywał, jak tylko pewien kuzyn Henryki, nazwiskiem Benedykt, któremu towarzysze klubu szewskiego jakieś rzymskie nadali nazwisko. Byłto zapalony republikanin, któremu ambicyja i przestrach za przekonanie służyły. Tacy ludzie zamiast bronienia, raczéj hańbili swoję sprawę. Jakoż podług takich ludzi o żadnéj sprawie sądzić nie należy. Człowiek ten starał się już od dawna o rękę i majątek swojéj kuzynki. Mając bez ustanku na ten bogaty łup zwrócone oczy, przemyśliwał nad sposobami, jakby go dostać w swoje ręce; dla osiągnienia zamiaru swego wszelkie środki poczytywał za dobre. Jednego razu pan d'Hervilly obudził był w nim zazdrośne podejrzenie, i został przez niego denuncyjonowanym. Benedykt pozbywszy się swojego spółzawodnika, w mniemaniu, że już umarł lub wyjechał z Francyi, użył wszelkich sprężyn dla osiągnienia swego celu. Widząc, iż wszelką swoją namową nic wskórać nie może, postanowił użyć przestrachu.

Gdy wszedł do pokoju, powiódł badawczym wzrokiem w około i usiadłszy rzekł: »Jestem bardzo rad, że cię kuzyno samę zastaję. Zdaje się, iż jadłaś wieczerzę«, dodał pozierając do przyległego pokoju, którego drzwi były na pół otwarte. Jak widzę, stosujesz się jeszcze do starego zwyczaju.

»Przestańmy o tém mówić, i powiédz mi raczéj panie kuzynie, z jakiegożto powodu zaszczycasz mnie tą nadzwyczajną wizytą, zwłaszcza, żem ci już oświadczyła zdanie moje.«

»Wiém o tém, wiém o tém, żeś mi dała do zrozumienia, bym u ciebie więcéj nie bywał, ale... hm! cóżci to kuzynko? Czemużeś tak pobladła? Toż może ja przyczyną jestem przelęknienia twojego?«

»I czegożbym się lękać miała? Ale już jest późno, a ty mi przyrzekłeś...«

»Dla czegoż tak uporczywą jesteś, i nie chcesz przyjąć mojéj ręki? Widzisz, oto jesteś sama jedna, bez obrońcy, bez przyjaciela. Stan ten jest bardzo smutny, a nawet bardzo niebezpieczny w tych czasach!«

»Panie Benedykcie, jeżeliś przyszedł powtarzać mi to, coś mi już mówił tyłekrotnie, przyznam ci się, iż to wszystko na nic się nie przyda.«

»Tak, tak, jak widzę, zawsze jesteś jednaką. Inny na mojém miejscu już dawno byłby sobie sprzykrzył zaciętość twoję. Byłby przestał czuwać nad tobą, a dzisiaj...«

»Dzisiaj!... No! dokończże... Cóż to dzisiaj ma znaczyć?«

»To ma znaczyć, że jesteś denuncyjonowaną, i że jeszcze téj nocy przegląd domu u ciebie się odbędzie.«

Benedykt wiedział o tém z pewnego źródła. Za jegoto doniesieniem i podług jego informacyi nakazano to śledztwo.

Henryka usłyszawszy tę wiadomość, została jak piorunem rażona. Wyobrażenie, iż żołniérze przyjdą dóm przetrząsać, i może znajdą tego, którego ona uratować się spodziéwała, prawie zmysłów ją pozbawiło.

»Ach! zginęliśmy!« wykrzyknęła mimowolnie.

»Jeżeli się dla tego o mnie obawiasz, że jestem twoim krewnym, więc się uspokój w tym względzie. Znają mnie w méj dzielnicy, i taką wiarę mam u przełożonych, iżbym sobie życzył, abyś i ty ją ze mną razem podzielać chciała.«

»A więc jeżeli tak panie Benedykcie, ratuj mnie! wspiéraj mnie w mém nieszczęściu!«

»Najchętniéj piękna kuzynko, najchętniéj; ale ażebym ci doskonale usłużył, na jeden warunek zezwolić musisz; dopokąd będziesz żyła sama jedna, będziesz tak jak twój ojciec, w podejrzeniu: iż zostajesz w porozumieniu z nieprzyjaciołami Rzeczypospolitéj... a może i z Hervillym«, dodał, patrząc na nią wzrokiem wlepionym; »a w takim przypadku, bynajmniéj pomódz ci nie mogę, gdybyś zaś została moją żoną...«

Ale Henryka już nie słyszała tych słów ostatnich. Przypomniała sobie, iż na widoku leżały rzeczy, które przygotowała do jutrzejszego odjazdu, i że takowe wszystko wyjawić mogły. Na wszelki więc przypadek wypadało je skryć z przed oczu, i wyprowadzić z domu tego natrętnika, który nieszczęście zapowiedział, a do odwrócenia go przychylić się nie myślił. Henryka przyszedłszy do siebie, nabrała cokolwiek odwagi i udając, że jest spokojną, rzekła:

»Panie Benedykcie, dziękuję ci, żeś mnie o tém uwiadomił. Ja bynajmniéj w mym domu nikogo nie ukrywam, i nie obawiam się niczego, jak tylko niespokojności, jaką podobny przegląd podczas nocy kobiétę nabawić może. A ponieważ nie chcesz przyczynić się do uwolnienia mnie od téj przykrości, więc przestańmy mówić o tém. Już jest późno, przyznasz sam, że obecność twoja o téj godzinie, nie jest przyzwoitą. Przebacz więc, że cię pożegnać muszę.«

Lecz Benedykt nie wstawał z miejsca. Nie uszło baczności jego pomieszanie Henryki, która co chwila czerwieniła się i bladła; postanowił więc korzystać z przyjaznéj pory i przemocą pokonać opór swojéj kuzynki. Jakoż potrzebaż się jeszcze nad tém rozwodzić? ta samotność, ten pokój odosobniony, ciemność okrywająca całe miasto, widok młodéj, opuszczonéj niewiasty, któréj przestrach jeszcze większego dodawał wdzięku, wszystko to rozpaliło wyobraźność tego obrzydłego człowieka. Oczy jego roziskrzyły się dziwnym ogniem; twarz wprzódy zawsze śniadą bladością pokryta, krwawym rumieńcem się okryła. Na czole jego nabrzmiały wszystkie żyły... Henryka przelękła się na ten widok. Dla pożegnania się z nim powstała z miejsca. Benedykt powstał podobnież, ale nie zdawał się poznawać, że mu odejść kazano. Mowa jego stawała się coraz bardziéj natarczywą, postępowanie coraz śmielsze, spojrzenie coraz zuchwalsze. Henryka przewidując niebezpieczeństwo, zbliżyła się mimowolnie do pokoju, w którym mąż jéj był ukryty. Benedykt ścigał ją nawet w tém miejscu.

»Idź sobie panie Benedykcie, zostaw mnie samę«, rzekła do niego tłumiąc swój głos stopniami; gdyż się obawiała, aby d'Hervilly usłyszawszy jéj krzyk nie wybiegł z swojéj kryjówki i nie ukazał się swojemu zaciętemu nieprzyjacielowi. »Odejdź pan z tąd«, dodała przestraszona, »zaklinam cię na miłość boską, wyjdź z tąd!«

»Nie, moja piękna kuzynko; ja nie wyjdę. Pozostanę dla twéj obrony. Ty mnie wysłuchasz. Ty musisz mnie wysłuchać.«

I cóż porabiał pod ten czas d'Hervilly? Po raz piérwszy odsunął drewnianą szybę, która taiła jego komórkę; ale postrzegłszy, iż natrętny kuzyn jeszcze nie odszedł, zatrzymał się pełen gniewu. Upłynęło chwil kilka, a już mu cierpliwości nie stało. Aż oto nagle za ścianą słyszy pomieszany i groźący głos swojéj żony. Słyszy stuk krzesła i krzyk przestrachu... Wyskakuje z kryjówki, i wpada do pokoju w chwili, w któréj Henryka rozgniewana do najwyższego stopnia za wyrządzoną zniewagę, schroniwszy się aż w kąt pokoju, wstrzymywała jeszcze za rękę nikczemnika, któregoby niezadługo nic już było wstrzymać nie mogło.

»D'Hervilly!« zawołał tenże bledniejąc z zadziwienia i nienawiści.

Téjże saméj chwili rzuca się nań z zaciekłością d'Hervilly, chwyta go za barki, rzuca nim o ziemię, uderza pięścią w twarz i zatyka mu gębę pięścią. Henryka postrzegłszy swego męża, padła jak nieżywa na krzesło. Benedykt ze swojéj strony miał także niepospolitą siłę. Pobudzony uczuciem gniewu i grożącém niebezpieczeństwem, walczył z największém natężeniem. Usiłując zrzucić z siebie swojego przeciwnika, zaczął się tarzać z nim po ziemi. Nareszcie gdy się mu to nie powiodło, wyjął z za nadrza krótki ostry sztylet, który zawsze przy sobie nosił. D'Hervilly postrzegłszy w jego ręku błyszczące ostrze, schwycił śpiesznie za rękę Benedykta i wraz zaczęli się obadwaj brać na siłę z największém zapamiętaniem, aż nakoniec ostatni pokonany przeważną siłą pierwszego, wypuścił z ręku zbójcze żelazo.

Nagle zgiełk broni ozwał się na wschodach.

»Otwórz«, zawołano z zewnątrz, »otwórz w imieniu prawa.«

Byłato straż, która przyszła odbyć przegląd domu.

Na te słowa przerażające, podniosła się Henryka z krzesła i stanęła jak śmierć blada z przestrachu.

»Przecież raz przyszli!« ozwał się ponurym głosem Benedykt; lecz d'Hervilly zamknął mu usta. Niespodziana myśl, jaka tylko w największém niebezpieczeństwie powstaje, zajaśniała w jego umyśle. Schwycić nieprzyjaciela w swoje ręce, dźwignąć go z ziemi z największém natężeniem, zanieść jako zdobycz do swojego schronienia, i przycisnąwszy go do ściany, wymierzyć sztylet w jego piersi, było dla Hervillego sprawą jednéj chwili.

»Jeżeli tylko wymówisz jedno słowo albo się ruszysz, zginiesz natychmiast!« rzekł do niego cichym głosem, i dał mu do poznania, że z rozpaczy sztylet w nim utopić gotów.

Wyobraźmy sobie tych dwóch zapaśników pałających ku sobie nienawiścią wzajemną, którzy tłoczą pierś o pierś i twarz o twarz w wązkiéj przestrzeni, wciągają w siebie oddech wzajemny i czują bicie serc swoich!—Głos Hervillego wyrażał tak okropne postanowienie, iż podły i nikczemny Benedykt lękając się o swoje życie, oprzéć się mu nie ważył.

Dopiéro za trzeciém wezwaniem i gdy żołniérze już do wyważenia drzwi się zabiérali, pokonała Henryka nareszcie lękliwość w sobie, i poszła im otworzyć. Biédna istota! postrzegłszy ją tak bladą i wzruszoną, nawet zatwardziałe serca żołniérzy, zaczęły się litować nad nią. Nocni siepacze okazali dla niéj więcéj względów, niż zwykli w takich okolicznościach. Miała ona jeszcze tyle przytomności umysłu, iż stósownie odpowiadała na wszelkie zapytania, jakie jéj zadawano. Ale podczas badania, postrzegła pod stołem kapelusz, który Benedykt w swojéj walce upuścił. Na ten widok, pomyśliwszy jakie skutki pociągnęłoby za sobą to odkrycie, ścięła się krew w jéj żyłach. Jednakże nabrała jeszcze tyle mocy, iż stanąwszy przed stołem zasłoniła go sobą.

Ale wkrótce musiała opuścić to miejsce, dla oprowadzenia po całym pokoju nieznajomych wizytatorów i pokazania im małéj izdebki, w głębi któréj za ścianką d'Hervilly wymierzony sztylet w Benedykta w swym ręku trzymał. Żołniérze niepostrzegłszy nikogo, przeszli koło nich. Uszy ich nie słyszały tych dwóch serc, które mocno biły pod potęgą wzruszeń tak rozmaitych. Oczy ich nie odkryły ani kapelusza Benedykta ani włościańskiego ubioru, którego Henryka w pośpiechu ukryć nie miała czasu. Zabawiwszy więc kwadrans, który się jéj wydawał być wiecznością, wyszli z domu. Odgłos ich kroków coraz słabiéj odzywał się w oddaleniu. Nakoniec całkiem ucichło.

Henryka odetchnęła, jak gdyby kamień spadł z jéj serca. Z pośpiechem poskoczyła odsunąć szybę.

»Żywo Henryko!« rzekł do niéj mąż; »dawaj sznura i kawałek drewna!«

»Przecież mnie nie zabijesz«, ozwał się słabym głosem Benedykt.

»Ciszéj!«

Wkrótce więzień skrępowany i zakneblowany, nie był już w stanie więcéj szkodzić. D'Hervilly czuwał całą noc przy nim.

Nazajutrz skoro zaświtało, Henryka i małżonek jéj przebrani w ubior wieśniaczy, wykradłszy się jedno za drugiém z domu, udali się na ulice Paryża. Tomasz, dawny służący familii pana d'Hervilly, czekał już na nich z wozem i z paszportem dla swojego zięcia i córki. Wymknęli się szczęśliwie z miasta.

Dzień już był na schyłku. Sąsiedzi i czynszownicy panny Brisson zdziwili się, że jéj od onegdaj już nie widzieli. Przytłumione jęki słychać było we środku domu, a nikt nie mógł zgadnąć, z którego miejsca wychodzą. Zeszli się więc na ganek na piérwszém piętrze, i zaglądali przez otwór zamku, ale nie postrzegli nikogo. Podsłuchiwali jeszcze przez chwilę. Przytłumione jęki i narzékania obiły się dokładniéj o ich uszy. Nakoniec wyważyli drzwi—nie zastali w pokoju żywéj duszy; lecz w głębi małéj izdebki, za taflowaniem usłyszeli krzyk i niewyraźne słowa; jakiś człowiek szamotał się z całéj siły i stukał o mur nogami. Rozrąbano ścianę siekierą, a każdy z obecnych postrzegłszy człowieka skrępowanego w ciasném miejscu i zanurzonego we krwi, odskoczył z przestrachu. Z zaciekłością gryzł on zębami knebel, który jego głos tłumił. Tarzając się jak opętany, tłukł głową o posadzkę. Wszyscy obecni poznali po rysach twarzy, że to jest ich znajomy. Pozbywszy się knebla i więzów zaczął krzyczéć:

»Ach, już ich nié ma! bieżcie za niémi! Henryka! d'Hervilly! szlachcic! emigrant! dogońcie ich...«

To wymówiwszy padł osłabiony na siłach.

Nadaremne były poszukiwania, które przedsięwzięto. Pan d'Hervilly z swoją małżonką nie oddalił się z Francyi. Schroniwszy się oboje w okolicę górzystą i odludną, niedaleko *Château-Chinon,* wzięli małą majętność w dzierzawę i nieznani wiedli życie szczęśliwe. Nie żądali oni od restauracyi ani wynagrodzenia ani zaszczytów.

Benedykta zabito w oknie przy ulicy *St. Honoré,* gdy z przestrachem przypatrywał się powstaniu dzielnicy przeciw rządowi konwencyjnemu dnia 17. *vendémiaire.*

KRÓLEWSKA KRYNICA.*)

Oto dolina, a w téj dolinie
Rośnie kalinowy szczep,
Pod nim krynica, z krynicy płynie
Wesoła rzéczka na step.

Tu kiedyś Kozak na płowym koniu
Raniony z ziemi spadł,
A jak spadł z konia, tak na tém błoniu
Surową ziemię jadł.

Niedługo potém przyszła dziéwczyna
Na smutny Kozaka grób:
Płynie krynica, rośnie kalina,
Co chcesz dziéwczyno rób.

»Stanę ja tutaj, będę wołała
»I czarném okiem zapłaczę,
»Będę wołała i narzékała
Aż się przebudzisz Kozacze!«

Nie powstał Kozak choć go budziła,
Choć go wołała na ślub,
Tylko powstała druga mogiła,
Gdzie był Kozaka grób.

Mruczący strumień modlitwę czyta
Nad śpiącéj dziéwczyny głową,
Co tu kitajką trawy nakryta
Pod cienią pod kalinową.

We sto lat potém, gdy do Kaniowa
Z dalekich ruskich pól
Zjechała wielka ruska Carowa
I młody lacki król.**)

Ów król znużony, na grobie dziewicy
W cieniu kalinowym spał,
Gasił pragnienie w hożéj krynicy
I jéj swe imię dał.

Dziś przyszedł pielgrzym do téj doliny,
Znużony i bez sił,
Nie zastał króla, chłopca, dziéwczyny,
Łzy miasto wody pił.

A zastał tylko strumień z doliny,
Co biegnie i w ofierze
Za duszę króla, Kozaka, dziéwczyny
Ciche odmawia pacierze.

(Przez S. W. z *Rusałki* części drugiéj. Wilno 1839.)

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 15. i obejmuje:

*) W Kaniewie w rzeczy samej jest krynica tegoż imienia i tychże wspomnień.
**) Stanisław August.

1) O pochyleniu skiby i głębokości orania. 2) O wełnie ze względu handlu. 3) Nader ważne wyjaśnienie, dla czego wartość złota co raz bardziej się zmniejsza (Dokończenie). 4) Korespondencyja.

Tygodnik Petersburski i inne pisma polskie wspomniały o wyszłém w Krakowie dziele we dwóch tomach Ambrożego Grabowskiego: *Starożytności historyczne polskie czyli pisma i pamiątki do dziejów dawnej Polski, listy królów i znakomitych mężów, przypowieści, przysłowia, z rękopisów — z przydaniem żywotu kilku uczonych Polaków.* Zwracamy i my uwagę na to dzieło, które obok ważnej, szczególnie miłośnika dziejów zajmującej treści, jest także bardzo pięknie wydaném, z rycinami litografowanemi w Strasburgu. Tom pierwszy ozdobiony wizerunkami: Poety Wespazyjana Kochowskiego, Szymona Syreniusza naturalisty i Tomasza Dolabelli, malarza nad. Zygmunta III. obejmuje 469 stronic; tom drugi (o wiele ważniejszy od pierwszego), w którym listy trzech Zygmuntów, Anny Jagiellonki, Maryi Kazimiry, M. Drzewickiego kanclérza, Jana Dantyszka bisk. warmińskiego i kardynała Stanisława Hozyusza zawarte, ma objętości 536 stronic i ozdobiony jest wizerunkiem ks. Jana Brościusza prof. krakowskiego. *S. J.*

Z Warszawy: Na święta Wielkanocne wyjdzie tu rocznik religijny, pod tytułem: *Alleluja*, ozdobiony rycinami na stali rytémi w Paryżu. W Anglii, Francyi i Niemczech po kilka corocznie wychodzi noworoczników religijnéj treści, u nas pierwszy da przykład *Alleluja*. — Gliksbergowie, Jan, A. Emanuel i G. Leon, tworzą kompaniję i wydawać będą spólnym nakładem *Panteon*, składać się mający z dzieł: Krasickiego, Naruszewicza z dopełnieniami, Karpińskiego, Trembeckiego, Kochanowskiego, Szymanowskiego, Czackiego, Węgierskiego, Górnickiego, Klonowicza, Gawińskiego, Zimorowicza, Orzechowskiego it. d. Nadto: Herbarz Niesieckiego, Wiadomości literatury Ossolińskiego i t. p.

Z Wilna: W tych dniach opuszcza prasę poszyt trzeci Jochera *Obrazu biblijograficzno-historycznego literatury i nauk w Polszcze.*

Z Petersburga. Wyszedł tu z drukarni Kraja zapowiedziany w r. przeszłym noworocznik *Niezabudka*.

Sprostowanie. Umieszczoną w przeszłych »Rozmaitościach« wiadomość o poecie Sebastyjanie Klonowiczu, w ten sposób sprostować należy: że takowy urodził się w Sulmierzycach r. 1551, gdzie mu pomnik ma być wystawionym, umarł zaś w Lublinie roku 1608.

Anegdota. W czasie kiedy z królem Władysławem IV. przy wstępie na tron *pacta conventa* były zawierane, mieli królewiczowie bracia przysięgać na wierność krajowi roku 1633 w Krakowie. Pytał królewicz Jan Kazimierz Opalińskiego marszałka wiel. kor., azali mogą stojący przysięgać? Na co ten dał odpowiedź: że dla uczczenia aktu przysięgi trzeba klęknąć aby na jedno kolano. A królewicz na to: »A dla czegoż waszmość przysięgacie żonom stojąc?« (Dawny zwyczaj brania ślubu.) — »To je też (rzecze marszałek) często zdradzamy.« *(Star. pol. Amb. Grab. t. I.)*

Francesco Fortunelli. Tak się zowie chłopiec mający lat dwanaście, który teraz we Włoszech nadzwyczajną swoją zdatnością do malarstwa powszechną uwagę na siebie zwraca. Chłopiec ten urodził się we włości niedaleko Spoleto i w dziecinnym wieku swoim nie pobiérał żadnej nauki, tak dalece, że nawet teraz, gdy się już poniekąd jego wychowaniem zajęto, zaledwo czytać i pisać umié. Ale będąc jeszcze pięcioletniém dzieckiem, zaczął już krédą rysować postacie, jakie piernikarze zwykle pieczywu swemu nadają a które on od znajomych w podarunku odbierał. Co gdy się mu szczęśliwie powiodło, zaczął później żywych ludzi i źwierzęta rysować. Prawda, iż to były jeszcze bardzo słabe początki, jednakże idąc za wewnętrznym popędem, postępował nieustannie od rzeczy łatwych do trudniejszych, aż nareszcie kolorowe obrazy, które odmalował podług wzorów znajdujących się w niektórych pobliskich kościołach wiejskich, zaczęły zwracać uwagę. Z tém wszystkiém pasał on trzodę swoich rodziców. Dopiéro w późniejszym czasie znalazło się kilku szlachetnych mężów, którzy wziąwszy go w swoję opiekę, do akademii na naukę oddali, a z postępów jakie tamże uczynił, wróżą sobie niektóre włoskie dzienniki, iż w nim na przyszłość drugiego Giotta lub Rafała ujrzą. —

Największy zbiór autografów w Europie, znajduje się w Paryżu. Jest on własnością hrabiego d'Artone. Ilość wszystkich autografów dochodzi dziesięciu tysięcy sztuk. Między innemi ma tam być także pismo własnoręczne Julijusza Cezara i Aleksandra Wielkiego. (1)

Największa drukarnia w Londynie należy do pp. Cloves. Zabudowania jéj całą pierzeję ulicy *Princess* aż do ulicy *Duke* zajmują, w których codziennie zatrudnionych jest 340 ludzi, to jest: odlewaczów czcionek, zecerów, drukarzów i korektorów. W osobnym gmachu są różne zecernie, a z tych największa, w któréj 60 zecerów pracuje, stanowi salę mającą 200 stóp długości. Prócz 23 pras ręcznych najrozmaitszego składu, jest tam codziennie od ósmej godziny z-rana aż do ósmej godziny w wieczór, wyjąwszy godzinę odpoczynku, 10 wielkich parowych pras w ruchu, z których każda na godzinę 1000 po obu stronach drukowanych arkuszy w ósemce dostarcza. Z dzieła (*»The Way te be kealtky, vealthy and wise«*), które teraz niedawno w 300,000 egzemplarzach tamże ukończono, dostarczała taż drukarnia codziennie 20,000 egzemplarzy.

Księztwo Nassauskie jest może jedyném państwem w całym ucywilizowanym świecie, w którém *mirabile dictu* — Żadna gazeta, ani żaden dziennik nie wychodzi!

Nowe poprawienie Dagnerrotypu. Dr. O'Shaugnessy w Kalkucie, otrzymał dagnerrotypem za pomocą roztworu złota także kolorowe obrazy, mianowicie w kolorze czerwonym, purpurowym a nawet i w zielonym. Dla oddania mocniejszych świateł i cieni odbitych obrazów, używa on także szczególniejszym sposobem szlifowanej soczewki. Obecnie zajęty jest sposobem, którym słońce za pomocą szkła palącego, które umyślnie na ten cel sporządza, także xylograficzne roboty wykonywa. I tak już słońce kościół i dom w Kalkucie na drzewie wypaliło. Są już nawet tych przedmiotów odciski. Co też jeszcze słońce na przyszłość wykonywać nie będzie!

Nagrobek. Byłoto w ostatnich dniach miesiąca października 1779 roku, gdy pewien podróżujący Piemontczyk przyjechał do Florencyi. Miał on zaledwo lat 17, był chudy i wysokiego wzrostu, zarastał rudo, miał niebieskie oko i minę, w której zarozumiałość, bogactwo i duma szlachecka się malowały. Mówił i pisał jedynie po francuzku; ulubionym przedmiotem jego rozmowy były piękne kobiety, powozy i konie, a codziennem zatrudnieniem pisanie biletów i przeglądanie swego dziennika podróży. Niezaopatrzony wiadomościami kunsztu i nauk przebiegał ulice Florencyi i zwidzał galeryje, teatry i pałace. — Zimnym był na widok misternych dzieł Rafała, Brunelesca i Benvenuta Celliniego. Barbarzyniec ten (tak bowiem później sam się

nazywał), wstąpił do kościoła *di Santa Croce*, obojętnie przeszedł po przed grób Galileusza, zaledwo raczył rzucić okiem na pomnik Machiavella, i na monument Michała Anioła, myśli jego bujały po Rossyi, Niemczech i Francyi, krajach, które wkrótce zwidzić przedsięwziął. Stanął wreszcie przed wielkim ołtarzem świętego Ducha — aż oto ogarnęła go niewidoma potęga, jakiś niedoznany żar przeniknął wszystkie jego żyły, mocno zaczęło bić jego tętno, nieznana siła mimo jego woli przykuła go na miejscu. — Nakoniec wyrywa się, dobry jeuijusz go odstępuje, a demon złego znowu z Florencyi uprowadza; goni przez Alpy, nudzi się i poziéwa w Paryżu, odbywa pojedynek w Londynie, dla bójki na ulicy zmuszonym jest opuścić Madryt, przeklina zimną Finlandyję, złorzeczy śnieżnym zaspom Rossyi, spieszy niewstrzymanie bez wszelkiego planu z Królewca do Gdańska, z Magdeburga do Getyngi, z Kasselu do Frankfortu, z Spaa do Akwisgranu. Wszędzie towarzyszy mu wewnętrzna niespokojność, ckliwość i przesycenie życia. — Byłoto w ostatnim dniu miesiąca października 1810 roku, gdy w kościele *di Santa Croce* wznoszono misternego dłuta Kanowy pomnik okazały, przedstawiający: »płaczącą Italiję.« Komużto wyświadczają taką cześć Włochy? Czyjeżto nazwisko uznano godném przechowania, aby je potomność podziwiała? Dla kogożto wznoszą ten pomnik, to dzieło niezrównanego rzeźbiarza? — Oto zuchwałemu i w niewiadomości pogrążonemu Piemontczykowi, który się przed cztérdziestą laty po raz pierwszy w Florencyi pojawił, wzgardzicielowi pięknych kunsztów, nieoświeconemu — autorowi: Mirry, Oresta, Brutusa, Filipa, Tymona, Saula i Wirginii, — nieśmiertelnemu Wiktorowi Alfieremu.

Janin o pannie Rachel. Paryzki feuiltonista Jules Janin, rzekł już dawno jednego razu, że on podniósł pannę Rachel na stopień, na którym teraz stoi, i że jest także w stanie strącić ją z niego. Zdaje się, iż tą razą na to zakroił. Ponieważ młoda dziéwczyna ta, która widocznie nie do zwyczajnych zjawisk należy, bez miary jest chwaloną i prawie aż pod niebiosa wyniesioną bywa, więc przytoczymy tu zdanie, które o niéj Janin napisał. I tak mówi on: »Już dawno nie widziałem panny Rachel. Żaden talent w świecie nie czyni zadość ciekawości człowieka, jeżeli zawsze jest ten sam, i zawsze w téj saméj sferze się okazuje. Pomimo przecudnej deklamacyi, człowiek zawsze wié już naprzód, co nastąpi. W wielkim aktorze zaś podoba się przede wszystkiem to, co zadziwia i co jest niespodziane. Kto zawsze nowym się okazuje, tego zaiste co dnia widzieć sobie życzymy; dziś go chwalimy, jutro ganimy, raz on do śmiéchu nas pobudza, raz łzy z oczu wyciska. Ale wcale inaczej ma się rzecz z aktorami, którychcśmy na wskroś poznali, których każde wygłoszenie, każdy ruch już naprzód odgadnąć można. Wtedy człowiekowi częstokroć na sen się zbiera, i z tądto pochodzi, iż publiczność patrząc na pannę Rachel, częstokroć bardzo zimną i obojętną zostaje. Aktorka ta nie przedstawia nic nowego parterowi, który prawie zawsze z tych samych osób się składa. Jednakże byłto parter, który pierwszy zachęcił ten młody talent i włożywszy mu na skronie nieśmiertelny wieniec, usunął się powoli. Gdy więc teraz widzi pannę Rachel w Cynnie lub Andromace, znajduje ją wprawdzie śmiałą, nie chwiejną, wzniosłą, poprawną, niekiedy nawet rozognioną i dumną, ale śmiałość ta nie zrobiła żadnych postępów, wzniosłe czucie osłabło, zapał cokolwiek ostygł, a w tym samym stopniu i podziwienie publiczności zgasło. A to wszystko z tąd wynikło, że panna Rachel zupełnie tą samą zostawszy, talentu swego w rozmaity sposób stopniowo rozwinąć się nie starała. Z tego powodu publiczność, która wprzódy huczne dawała jej oklaski, teraz ostygła i oniemiała, jak się to pokazało niedawno podczas przedstawienia Andromachy. Panna Rachel straciła przeto pewną cząstkę dawnéj swéj władzy; niezwyczajna oziębłość, z jaką parter przyjął jéj granie, przykry na nią skutek wywarła, już bowiem do tego stopnia z nią przyszło, iż wymaga, aby wszyscy obecni koniecznie okrywali ją oklaskami, i zaszczycali niepodzielnie swoją uwagą. A gdy oklasków nie otrzyma, wtedy miesza się, traci przytomność; nie zapomina wprawdzie roli, ale zapomina grać w duchu, jakiego całość sztuki wymaga, a to jest właśnie kamieniem probierskim, po którym prawdziwą wartość artysty poznajemy! Wtedyto dla zjednania sobie oklasków zaczyna panna Rachel przesadzać, okazuje się zaciekłą w chwili, w której tylko wzruszoną być powinna, staje się napuszoną tam, gdzie z szlachetną dumą wystąpić powinna; słowem, dziwaczném przesadzaniem niweczy wszelkie artystowskie wrażenie. — Otóżto«, tak kończy Janin, »chciałem powiedzieć w odwet owych bez końca pochwał, i dla tego, aby panna Rachel odtąd i w nowych rolach nam się pokazać starała.«

Sanie panny Taglioni. Dziennik »*Temps*« donosi, iż panna Taglioni otrzymała w podarunku sanie z spaniałym czworokonnym zaprzęgiem, tudzież brodatego rossyjskiego woźnicę, który przeznaczony jest jedynie do wożenia artystki na próby i do teatru. Sanie te mają z przodu figurę z bronzu, która pannę Taglioni w tańcu: »*la Gitana*« przedstawia; zresztą wybite są najpiękniejszémi sobolami, a na czaprakach jest przeszło 2000 dzwonków śrebrnych. Cała ludność Petersburga zbiéga się gdy usłyszy przyjemny dźwięk tych dzwonków i podziwia przepyszne sanie tanecznicy.

Tegoby chciały wszystkie tanecznice! Tenże dziennik donosi, iż podczas ostatniego wystąpienia Fanny Elssler w Paryżu, pomiędzy bukietami z żywych kwiatów, zrzucono także bukiet z kwiatów kunsztownych, który z smaragdów, rubinów i dyjamentów był ułożony. Pewien Anglik sprawił téj rzadkiéj wdziękini tę miłą niespodziankę. Cóż dopiéro Amerykanie dla niéj nie uczynią!

Mehmed Ali. Dziennik *Messenger* Galignaniego zawiera o Mehmedzie Alim następującą anegdotę: »Pewien Anglik odbywszy podróż po Syryi, bawił czas niejaki z swoją familiją w Aleksandryi. Żona tegoż Anglika napisała do Mehmeda Alego list z prośbą, by jéj przysłał promień swych włosów w upominku, aby takowy pomiędzy innémi osobliwościami od sławnych mężów w swoim zbiorze umieścić mogła. Z uprzejmością kazał jéj powiedzieć Basza, iż nié ma żadnych włosów na głowie, jak tylko jednę brodę, z którejby jéj chętnie jakiejś cząstki udzielił, gdyby za sławnego męża się poczytywał. Późniéj, gdy ta, włosów jego chciwa dama nalégać nie przestała, kazał jéj oświadczyć, iż w ostatniéj swéj woli nakaże swojemu spadkobiercy, aby po jego śmierci całą brodę posłał jéj na pamiątkę.«

Kuryjer Warszawski pod dniem 29. marca donosi: »Kawaler lat 26 liczący, kształtnéj urody, posiadający wyższą edukacyję, żadnéj atoli znajomości w Warszawie nie mający, szuka stósownéj partyi. Nie żąda piękności, lecz cnotliwéj i przyjemnéj bez względu na wiek osoby, z warunkiem, aby posiadała majątek, któryby powiększył jego dochody. Damy więc życzące przyjąć jego wezwanie, opieczętowany adres swój pod znakiem *H. K.* do Redakcyi *Kuryjera* nadesłać raczą, gdzie bliższą wiadomość bez uwłoczenia skromności, powziąć mogą.«

REDAKTOR J. N. KAMIŃSKI. — NAKŁADEM SPADKOBIERCÓW F. KRATTERA. — DRUKIEM P. PILLERA.